

WIECZORY i RODZINNE,

CZASOPISMO, ILLUSTROWANE, TYGODNIOWE

i DLA i DZIECI.



Z A R A N I E (str. 434).

Z A R A N I E.

SYN.

Ojcze! co ksiądz na kazaniu
Mówił o miłości,
O braterstwie, o zaraniu,
Słońcu i przyszłości?

OJCIEC.

Spojrzyj synu tam daleko
Jak zasięgniesz wzrokiem,
Mów, co widzisz po za rzeką
Młodocianém okiem!

SYN.

Widzę świtu zorzę jasną,
Jak z za świata wstaje;
Widzę gwiazdy, które gasną
Zapadając w gaje.

OJCIEC.

To zaranie! Słońca tarcza
To jest miłość bratnia.
Jeden promień jęj wystarcza
Gdy mrze z gwiazd ostatnia.

Kękułka z nad Bzury.

Kękułka

RODZINA STORCZYKÓW.

Nieraz zapewne, zbierając bukiety na łące, szukaliście oczyma tych ładnych kwiatków lila, które w kształcie kłosów wznoszą się na niskiej łodydze, liście mają podługne, śpiczaste, zwykle ciemnymi plamkami upstrzone. Są to najpospolitsze storczyki, plamistemi zwane, w języku naukowym *Orchis maculata*.

Czy zauważyliście dziwną postać tych kwiateczków? Każdy złożony jest z sześciu płatków, ale jakże rozmaitych! Trzy płatki wąskie zaokrąglają się, tworząc coś nakszałt hełmu, dwa inne jak skrzydła są rozpostarte, szósty płatek наконец, najszerszy, rozkłada się z przeciwnéj strony, jakby jakaś zwisła klapka. Ta klapka i dwa boczne płatki hełmu leżą na zewnątrz kwiatu i mogą być uważane za kielich, a dwa skrzydełka i środkowy zagięty płatek są wewnętrzne i tworzą koronę.

Przypatrzcie się, jak ten szeroki, zwisły płatek przedłuża się u dołu, jakby w ostrogę wydrążoną czy rózek. Można by to miejsce zakłócić szpilką, a niezawodnie na koniuszczku szpilki zostałaby kropelka słodkiego płynu, bo w tych ostrogach mieszczą się miodniki, tak się nazywa część kwiatu, z którego pszczoły, motyle i różne inne owady

miód czerpią. Niezawsze te miodniki jednakowo wyglądają, w innych kwiatach ukazują się w postaci łuszczyk, narości, gruczołków rozmaitych, zawsze jednak wydzielają ów płyn cukrowy, który przemyślnie pszczołki tak dobrze umieją zużytkować.

W kwiecie storczyka nie obaczmy wcale cieniutkich pręcików ani oddzielnego słupka, tylko coś nakszałt gruszczyki spłaszczonej i szparką podługną przedzielonej. Jeśli igłą otworzymy tę kryjówkę, znajdziemy tam dwie komóreczki, a w każdej z nich drobne ciało okrągławe, na cienkim trzoneczku osadzone. Niżej zaś spostrzegamy wklęsłość lepką i lśniąca, podobną znów do małego słoiczka. Owe małe gruszczyki złożone są z ziarenek pyłkowych spojonych z sobą, botanicy nazywają je pyłkomasami. Kryjówka, w której są osadzone, stanowi pylnik, a wklęsły słoiczek jest znamieniem słupka, bo kwiat ten szczególny tém właśnie odróżnia się od innych, że dwa te organa, w innych kwiatach występujące oddzielnie, jako pręciki i słupki, są w nim spojone z sobą i tworzą tak zwany prętosłupek. Pod nasadą płatków znajduje się zawiązek nasienny.

Jeśli kiedy przez pośpiech zdarzyło się wam wyrwać kwiat storczyka z korzonkiem, mogliście zauważyć, że korzonek ten składa się z dwóch bulwek, a z jednej nieco większej wychodzi łodyga; druga, mniejsza, na rok następny takąż samą łodygę wypuszcza. I tak co rok nowa bulwka starą za sobą zostawia, a tym sposobem roślina ciągle się posuwa naprzód; powolny to wprawdzie pochod, jeden krok na rok i to taki malutki. Obliczono, że w ciągu lat dwudziestu krzaczek posunąłby się na jedną stopę, w ciągu przeto całego stulecia przebyłby zaledwie pięć stóp.

W naszym kraju można napotkać różne gatunki storczyków; do pospolitszych należy wyżej wzmiankowany plamisty, drugi podobny bardzo, który odznacza się tylko szaremi liśćmi i ztąd nosi nazwę naukową *orchis latifolia*. Piękny bardzo gatunek, storczyk dwulistny, *Platanthera bifolia*, ma dwa obszerne liście korzeniowe, kwiatki białe o długiej ostrodze, woniejące nieco, szczególnie wieczorem, w długi, wysmukły kłos zebrane. Rzadszy jest daleko prześliczny gatunek, zwany trzewiczkiem Wenery, gdyż kwiat ten ma w rzeczy samej kształt złocistego trzewiczka z rozpuszczonymi, ciemno-purpurowymi wstążkami. Ozdobny ten trzewiczek można znaleźć niekiedy w lasach liściastych na wapnistym gruncie. Botanicy nazywają go *Cypripedium calceolus*.

Mnóstwo pięknych storczyków rośnie w Tatrach, do najosobliwszych zaliczyć można storczyk kulisty, *Orehis globulus*, tak przezwany, gdyż ma

kwiatki lila skupione gęsto w kulistą, dużą główkę. Inny, tegoż samego koloru jasno lila, ma kształt długiego kłosa, odznacza się miłym, mocnym zapachem, a ztąd nosi nazwę pachnącego, *Orchis odoratissima*. Niektóre gatunki są pasorzytne, to jest wyrastają z korzeni drzew.

Storczyki napotkać można prawie na całej kuli ziemskiej. W strefach umiarkowanych żyją zwykle w ziemi i mają bulwiaste korzonki; często w tych bulwkach zawierają mączkę znaną w aptekach pod nazwą salepu.

W gorących zwrotnikowych krainach storczyki najczęściej sadowiają się na drzewach, po większej części jednak nie są pasożytami, nie zapuszczają korzonków w pień drzewa, ale czepiają je w szczelinach, gdzie tylko na grudkę ziemi natrafiają, a czasem zupełnie obchodzą się bez niej i żyją wilgocią, którą wciągają z powietrza.

Storczyki są najpiękniejszą ozdobą lasów zwrotnikowych amerykańskich. W tych gęstwinach nieprzebytych, gdzie na pniach olbrzymich tysiącami spletały się liany, gdzie potężne gałęzie uginają się pod ciężarem liści najrozmaitszych, te prześliczne kwiaty wśród masy zieloności najjaskrawsze roztaczają barwy, najdziwniejsze postaci. Z owych sześciu płatków, rozmaicie rozszerzonych lub wydłużonych, tworzą się takie fantastyczne kształty, że bujna wyobraźnia upatrywać w nich może najosobliwsze podobieństwa do ptaków, owadów, lub główek zwierzęcych, a nawet do głowy ludzkiej. Nieraz podróżnik, chcąc zerwać kwiat jaki do swojego zielnika, zbliżywszy się, cofnął rękę mimowoli, bo mu się zdawało że to gromadka dziwnych owadów obsiadła szypułkę. Tam znów spostrzega małe dzbanuszki, naczynka jakieś pozawieszane na wiotkich nitkach, miękkością barw i połyskiem do złudzenia naśladujące porcelanę. Tam wreszcie widzi dwie ptaszyny, dwa kolibry świetnie zabarwione, skradają się ostrożnie, lecz liść zaszeleścił, odleciał jeden ptaszek, drugi zachwiał się tylko, bo to kwiat, który on wziął za kolibra.

Jest storczyk pszczoła i storczyk osa, jest papież, motyl i małpa, a wszystkie postacie swoją dziwne te nazwiska usprawiedliwiają. Gatunki amerykańskie w wytwornych cieplarniach z trudnością hodować się dają. Najlepsza ziemia na nic się im nie przyda, nie potrzebują jej nawet, korzonki ich mogą być umieszczone w małych kosiszyczkach, na kawałeczku kory, ale za to w powietrzu muszą mieć obfitość wilgoci, którą wciągają łodygami i liśćmi. W ojczystych lasach mają jej podostatkiem, tam bowiem powietrze przesycone jest wilgotnymi wyziewami.

Ciekawy przykład pod tym względem przed-

stawia nam wanilia, która także do rodziny storczyków należy. Długa i giętka jej łodyga wije się jak powój po gałęziach, a wzdłuż tej łodygi wyrastają w pewnych odstępach liczne korzonki. Te jednak najczęściej nie dostają wcale do ziemi, lecz w postaci cienkich włókien zwieszają się w powietrzu, a czerpiąc z niego wilgoć, podtrzymują życie rośliny. Torebki, czyli strąki nasienne wanilii, mocnym i miłym zapachem obdarzone, znane są powszechnie.

Na zakończenie powiemy jeszcze, że storczyki, tak samo jak trawy, są roślinami jednoliściennymi, to jest, wyrastając z ziemi, jeden liść pierwszy wypuszczają. Rycina nasza przedstawia kwiaty rozmaitych storczyków.

M. J. Z.

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

Stary ofiarnik podejrzliwem spojrzeniem badał tymczasem wszystkich swych podwładnych, nie wyłączając trochę młodszego kolegi, owego drugiego starca-ofiarnika. Potem namyśliwszy się prędko, zakończył zdumienie i zawód ogólny, powiadając, że w powozie musiało nic nie być wcale, kiedy teraz nic niema; z tém odprawił bandę wpół zawiedzoną, wpół radosną, do jej legowisk. Kilku ludzi dorosłych, jedynych w całej bandzie, przystąpiło do więźniów z jakimiś więzami drewnianymi, podobnymi do jarzma dla wołów, gdy nagle przybiegł ów chłopak wpół-przywódca, rozłuszczony czegoś mocno, oznajmiając z gniewem staremu ofiarnikowi, że „stara“ żąda aby jej oddano więźniów, gdyż są poranieni. Starzec który właśnie stał nad więźniami jakby chciał do nich przemówić, pomyślał chwilę i dość żywo przyznał że „stara“ ma słuszość, ponieważ wedle przyjętego zwyczaju więźniowie ranni lub chorzy, jej są dla leczenia oddawani. To powiedziawszy, oddalił się starzec do swej lepianki, a trzej owi ludzie z bandy, zwolniwszy pęta więźni o tyle aby ci chodzić mogli, powiedli ich do jednej z lepianek, równie gędną, lecz trochę obszerniejszą niż inne.

— No stara! — krzyknął chłopak rozłuszczony wchodząc za więźniami do jednej izby w chacie. — Masz ich, ale pamiętaj, że jak mi którego z nich zabraknie tak jak było z tamtym co wiesz, to już ja się skarżyć nie będę, tylko sam ci niedaruję! pamiętaj!

Niewiasta, do której odnosiły się te przykre słowa, istotnie bardzo stara, acz krzepka jeszcze, zajęta była przy kominie prażeniem czegoś w garnkach, ognisko oświecało ją mocno, tak, że w tém świetle zabłysnęły w jej oczach, wyraźnie jak brylanty, grube łzy, na te słowa chłopaka i stoczyły się z wolna po jej zmarszczoném licu ku ustom. Chłopak, z nowym jakimś grubijańskim wyrazem na ustach, spojrział na nią przypadkiem w tej chwili i stanął jak wryty, drżąc widocznie, patrząc na nią wytrzeszczonemi oczyma i kłapiąc usta własne do krwi. Działo się w nim coś dziwnego, zdawało się jakby się on z *czemś* we wnętrzu swém mocował przez chwilę, aż nagle to *coś* go zmogło; okrutny malec krzyknął boleśnie i zalany łzami rzucił się do nóg stariej, całując nogi i ręce jej i jęcząc błagalnie z głębi duszy:

— Babko babko złota duszo nie płacz! nie płacz na mnie! żeby mi nie ciążyły łzy twoje, tak jak ojcu ciążyły przy skonaniu, że aż dusza pod ich ciężarem ulecieć z ciała tak długo nie mogła!.. — przy błaganiu tem, malec zaniósł się tak strasznym płaczem, że zdawało się iż w pierśsiach pęka mu coś od żalosego jęku. Jeżeli przyczyną tego były wspomnienia o których jęczał, to zaprawdę śmierć tego ojca straszną być musiała kiedy takie wrażenie zrobiła na dziecku. Babka stara usiadła przy kominie na ławie, przygarnęła do piersi klęczącego wnuka i tak trzymając go w uścisku cicho płakała, wskazawszy jednak skinieniem przyprowadzonym wojakom-więźniom, kilka snopów świeżej słomy, przygotowanych dla nich przy najdłuższej ścianie izby. Ale tymczasem gruba jej łza jedna upadła widać na czoło chłopaka, bo krzyknawszy przeraźliwie, zaczął na nowo wydierając się z jej rąk, nogi jej i proch przed temi nogami całować, błagając z dziką gwałtownością o miłosierdzie, to jest o zaprzestanie płaczu. Podobno rzeczywiście bał się łez, tak jakby jadowitego węża, zdawało się naprzykład, że one mu prawdziwy ból przy dotknięciu sprawiały, jak dotknięcie rozpalonego żelaza.

— Jego chyba naprawdę łzy parzą czy bolą... — rzekł w pół do siebie stary Wolfgang zdziwiony tą rozpaczą małego okrutnika. Zdziwili się wszyscy gdy stara babka odrzekła:

— Ah gdybyż go już i łzy moje nie bolały, czyliżbym nie umarła dawno; a tak jeszcze mię nadzieja trzyma że uratuję duszę jego.

Stara niewiasta powiedziała zaś te słowa nie w dzikim rozbójników języku, który tylko Wolfgang po trochu rozumiał, lecz łamaną jakąś mową, w którą i słowiańskie i niemieckie mieszała wyrazy, przez co dla wszystkich po trochu zrozumiałą była.

— Zjedz wieczerzę i spać idź na strych w siano, bo zmordowany jesteś — rzekła niewiasta po chwili gdy chłopak uciekł, wyczerpany może gwałtownością własną. I pocałowała go w czoło jak matka dobra, najlepsze dziecko całuje.

— Idź Hans! — powtórzyła gdy się nie ruszał od jej kolan — idź, bo ja muszę opatrzyć rany tych chrześcijan. Mały Hans wstał na to wezwanie, ale nie jadł i nie odchodził, zdawał się wstydić... poprzedniego wzruszenia może. Tymczasem stara babka wzięła w naczynie wody cieplej i szmatki czyste i przystąpiła z tém do więźni obmywać rany ich, bo choć w prawdziwej walce nie byli, to przecież poranieni byli okrutnie od łykowych więzów, które im się aż w ciało powrzucały, tém bardziej że szarpali się z razu szalenie, próbując je rozerwać. Dwóch miało także pokaleczone i zapuchłe oczy od owych kamiennych pocisków, tak, że nawet nie wiadomo było czy wzroku nie postradali. Niewiasta umiała opatrywać umiejętnie, podobnie jak wiele kobiet w owych czasach posiadających nieraz głębokie wiadomości lekarskie. Rycerz leżał jak martwa kłoda, przywleczony tu przemocą jakby był ciężką kłodą naprawdę. Zdawało się że uderzenia siekiery roztrzaskującej powóz tajemniczy, roztrzaskały zarazem serce rycerza którego honor przepadł. Leżał więc jak martwy przy opatrywaniu, ale jego towarzysze, zdumieni niesłychanie poprzedniemi niewiasty słowami o ratowaniu duszy wnuka, poczęli rozpytywać ją, gdyż słowa owe zdradzały w niej chrześcijankę. Z podejrzeniem tém, nadzieja wyratowania się z biedy, zakolała nawet do serc osłabłych wojaków.

— Com ja jest? czym chrześcijanka? A no, już ci chrześcijanką byłam, ale com jest dziś? Co się ze mnie zrobiło od dwudziestu i więcej zim odkąd oczy moje na pogańskie okropności patrzą, czy ja już sama wiem?... — tak mrucała stara niewiasta, łzy ocierając pomarszczoną spracowaną ręką.

— Jakto? i przez dwadzieścia lat tu jesteście? A zkądżeście się między temi niedobitkami Jadźwignów wzięli? I czemu nie uciekniecie? Przecież widać że chodzicie wolno? — wypytawali Niemcy.

— Nie ucieknę choćby mię i wyganiano — odrzekła niewiasta — bo jakże zostawiłabym tu duszę na zatracenie wieczne, a on ze mną uciekać nie chce, ale pocziwości isierka przecież w nim tleje, a bezemnie zgaśnie i ta, więc dla niego tu trwam — tak mówiąc wskazała niewiasta na zasępionego wnuka skulonego w kącie.

— Ależ chłopak ma najwięcej ze czternaście lat, a wy tu już dwadzieścia trwacie, to czemuż nie ucieklicie wprzód? — dopytywał Fritz giermek.

— Dla tego co i potem — odmrunknęła kobieta —

jak nie miałam wnuka, to miałam tu syna, który też odejść nie chciał, a ja już nikogo prócz niego nie miałam na świecie, to i gdzież miałam iść sierotę biedną ja!

— Biedni wy, biedni i my — ciszej jeszcze szepnął Wolfgang któremu właśnie kobieta poranione ręce obwiązywała. — Jakście chrześcijanką niewiasto, powiedzcie czego my się tu spodziewać możemy?

— Ha cóż — odpowiedziała — oni się z wami nie będą z razu bardzo źle obchodzić, bo będą chcieli abyście do nich przystali. Tak oni z każdym próbują, bo stary ten który dawniej był w Drohiczyńce ich wielkim *Kire-kirejto* co u nich znaczy podobnie jak i u Litwinów: *najbliższy nasz pan*, chciałby koniecznie żeby mu się dawne dobre czasy wróciły. Zbiera tedy ludzi do siebie i powiada że technie w nich ducha, tego obrzydliwego ich piekielnika Pikały. Jakoż jak małe dziecko schwył i po swojemu wychowa, to mu się i udaje zrobić zeń niby prawdziwego Jadźwiga. Tak on gwałtem chce nową Jatwiez utworzyć i po to córkę swoją jedyną ze synem moim wedle swoich obrzędów zaślubił w małżeństwo, że syn mój dzielny był i w nieszczęściu dał mu się otumanic i Jadźwingiem niby został, zamiast raczej umrzeć; a no to wszystko z biedy i nieszczęścia, a i mały też z razu dzieciak był... Ale staremu nie wiedzie się, myślał że się licznej doczeka rodziny, wtém umarła córka jego, umarł i syn mój i ten jeno został po nich co mię tu trzyma.

Tak się rozgadując powoli nie próżnowała przytęm biedna stara kobieta. Skończywszy z opatrywaniem swych więźni czy gości, żwawo zgótowała wieszak, acz ubogą lecz bardzo dla zgłodniałych potrzebną. Podała im to jadło w różnych nadłuszczonych garnkach i miskach, nawet w dwóch dość kosztownych pułkarkach, zarobowanych oczywiście, przynosząc je na słomę do więźni. Usiąść trudno było do jadła tak wygodnie jak Niemcy byli przyzwyczajeni, bo w nędznej acz czystej chacie, nie było nawet stołu i ław najprostszych, zastępowały je tylko kłody i pieńki rozmaite, koszlawe najczęściej. Na jednym z nich jadł ponury dzieciak wnuk Kire-kirejty. Parę kubków z jadłem poniosła też niewiasta w kącie między ogniskiem a stosem płacht i mchu, gdzie już do opatrywania z wodą i z płatkami też chodziła. Zapewne i tam leżał kto chory. Rycerz tylko nie jadł i nie pił, zaciągawszy spieczoną pragnącą widocznie usta. Napróżno kobieta próbowała wlać mu trochę leczniczego jakiegoś napoju: usta schłaibionego rycerza zacięły się silniej jeszcze; wtedy ona pokiwała głową mówiąc:

— Ten zranion na sercu być musi; źle z nim; nie pomogę mu nic.

— Litościwa wy dusza jesteście matko — rzekł przejęty wdzięcznością jeden z okaleczonych w oczy braci służebnych, któremu starania kobiety ulgę przyniosły. — Cóż za straszne nieszczęście zapędziło was między tych rozbójników przeklętych? Czy schwytać was kazał z synem ten szatan stary Kire-kirejto, któremu się tak oczy świecą na widok złota?

Pytanie to zadał brat służebny właśnie w chwili gdy skończywszy dość ciężką na jej wiek robotę, stara gospodyni usiadła na pniaku, potrzebując widocznie spoczynku. Jak wszyscy pracownicy ludzie odpowiadała ona trochę mruklawie i niechętnie na czynione jej przy robocie pytania, ale teraz siedząc spokojnie, dała się łatwo opanować wspomnieniom jakie obudziło w niej Niemca pytanie i zaczęła prawić zwolna, jakby do siebie:

— Stary?... a jużci i on winien nieszczęścia naszego, bo nas zatrzymał i uwięził u siebie, ale winna i Litwa, oj Litwa! Ze dwadzieścia już chyba, a może i z okładem, zim minęło, za Czarne Leszka polskiego, byłam ja nie zbójceją lekarką, oj nie! Byłam rzadną gospodynią w ojcowiznie mojej Laskówce pod Lublinem. Miałam dobrego męża i dwóch ślicznych synaczków i czyste sumienie, to jedno mi tylko na nię ciężyło, że przeciw woli rodzica za mąż za Niemca poszła, choć i ojciec na ono zameżcie przystali wkońcu, z niechęcią wszakże wielką. I Bóg że święty wie, czyli nie przez to niechętnie ojcowe błogosławieństwo naszło nieszczęście na mnie. Siedziałam ja raz wieczorem w świetlicy w dworcu moim, w pięknej świetlicy — prawiła staruszka kiwając głową i wzgardliwie rozglądając się wkoło — w pięknej takiej że i pani pozazdrościłaby mi nie jedna. Mój Jan łuk sobie naprawiał, a Hansa co się tak zwał po swym ojcu jak Jan po moim, trzymałam na kolanach i polewką połam, boć dwoje mi przed nim zmarło, a Hans miał cztery latka niecałe dopiero, i ledwo własne imię umiał wymówić. Drogie kobierce a makaty nakrywały stoły i łóża. Naczynia rządami bogato błyszczwały na pulcach. Wielki ogień jasno płonął na kominie. Kundys czarny leżał przed ogniem. Służebniczka stała przy mnie i podawała Hansowi łątki którymi się bawił i rzucał je na ziemię i podnosić kazał... Tak... tak wszystko było tego wieczora, jakby w tej chwili na to patrzyła, na szczęście moje... — domawiając tych słów coraz rzewliwiej, niewiasta zaniosła się płaczem nareszcie.

— I cóż się stało? — zapytał głosem pełnym współczucia Fritz młody giermek, który skulony, tuż przy rycerzu się unieśliwszy, usiłował różne-

mi sposobami ulgę mu przynieść acz próżno, a teraz wyobraził sobie że rycerz słuchał tego opowiadania, może dla tego że ono samego młodego giermka zajmowało.

— A cóż — odrzekła po chwili utuliwszy się w płaczu kobieta. — Cóż... nagle od jednego razu stała się wrzawa, trzask, krzyk i łoskot okrutny; drzwi z trzaskiem padły na podłogę, a na nie padł na wznak mój mąż broniący ich, a po nim wpadła straszna tłuszcza litewska napelniając odrazu całą świetlicę, uczułam się pochwyconą i pchaną, rzucającą, popychaną wśród płomieni pomiędzy tłuszcza ani wiem jak i gdzie. Małego Hansa przyciskałam mocno do piersi, a Jan trzymał mię uburącz za szaty, a kiedy znalazłam się na koniu przywiązana do niego i pędzona z innemi, to Jan siedział za mną ale ręce próżne przyciskałam do piersi. Czy mi dziecko wydarto? Czy upuściłam je sama? alboż ja wiem nieszczęsna... Potem odwiązano mię, snadź nie obawiając się już pogoni, i pieszo, zbitą, zbolalą pędzono w innych niewolników gromadzie. Jan zawsze był ze mną; był inniej wylękniony niż ja, krzepki, pilnował się sam, trzymając mię ciągle za szaty. Litwin z razu pędził nas bez miłosierdzia, ale później zapewne wcale się już nie lękając niczego bo się odbił daleko, stanął i żywność dawał abyśmy nie ustali w drodze. Jan siedząc przy mnie a namawiając do jadła, cieszył mię po dziecinnemu opowiadając a rojąc, jak uciekniemy z niewoli, trzos wielki złota znajdziemy i wróciwszy do spalonego dworca naszego, wielki zamek i gród wybudujemy na jego zgłiszczach, a ojcu piękną postavimy kaplicę, gdzie się codzień nabożeństwo za jego duszę będzie odprawiać. A wtém z lasu tuż za nami wyszedł ten sam, taki sam jak dziś jest stary Kire-kirejto, położył rękę na chłopca ramieniu i patrzył mu w oczy, pewno czarując go oczyma swemi i prawil a durzył chłopaka, który mu się snadź z poprzedniej inowy wysłuchanej spodobał. Prawil, że jemu zabito syna, jak Janowi ojca, że przeto Jan niech synem mu będzie, i mówił dalej chytrze po dziecinnemu przemawiając do dzieciaka, że oni oba nietylko wybudują dla mnie gród, zamek i kaplicę dla ojca, ale i drugi gród zdobędę, jego własny wydarty jemu i jego narodowi Drohiczyn, a ten Drohiczyn stanie się wielkiego królestwa Jatwieży stolicą a Jan będzie tego królestwa królem i pomści na Litwinach wszystkie ich straszne na Polskę napaści, do jakich oni to i Jadźwingów namawiali i na Prusakach i na krzyżakach którzy wszyscy naokoło Polskę szarpią, i stanie się Jan wielkim królem i rycerzem nad rycerzami! Tak durzył chłopaka Kire-kirejto chytry, a chłopcu się czarne oczy paliły coraz mocniej, aż przysiągł po chrześcijańsku,

bo tak stary żądał, że synem mu będzie posłusznym. Wtedy starzec zręcznie poprzecinał więzy nasze, a sam zagadywał straż gdy my uciekali, bo któżby z niewoli nie uciekł gdy może. Starego szanowała straż litewska, bo przyjaciele zawsze byli Jadźwing z Litwinem i bodaj czyli nie z jednego gniazda, kiedy podobni. Las był blisko, stary też zaraz nas dopędził i doprowadził do jaskini głębokiej, siedział tam dzień jeden z nami pilnując nas, i jedzenia miał tam trochę, a przez ten czas słyszeliśmy odległe szczęki broni i jęki i wielki około jaskini nawet rozruch: ha... gdybyż można było odgadnąć co się tam działo! trzeba mi było tylko napowrót na brzeg lasu wyjść, tam zkąd uciekałam, a byłabym uratowała dziecko i siebie...

— Albo cóż się tam działo? — zapytał Wolfgang ciekawie.

— A cóż, polski Lech *) Czarny dognał niespodzianie Litwę, zbił na miazgę i niewolnika odebrał: czemuż nas między niewolnikiem już nie było... Kire-kirejto zaprowadził nas tu, w niedostępne puszcze, i dopiero wtedy zobaczywszy ten dąb osłoniiony i tych ludzi niepodobnych do ludzi, pojęłam że jestem między pogaństwem. Wprzód myślałam że te resztki Jadźwingów są nawrócone na chrześcijańską wiarę, boć wiadomo ilu ich to nawróciło się za króla Bolka naszego polskiego. Ale kiedy się o prawdzie przekonałam późno już było uciekać, bo chłopak taki był zdurzony królowaniem przyszlę, że słuchać o niczem nie chciał. Mądry to jest ten stary, chłopca wcale on do bałwochwalstwa nie zmuszał, owszem, sam on pierwszy skrycie drwił przed nim ze swych obrzydliwych bałwanów, mówiąc że są drewno i kamień i że nie może naprawdę być tylu bogów, bo by dawno źli dobrych zmogli. Ale tłómaczył że trzeba koniecznie takiego dębu świętego, aby było koło czego zgromadzić starą niby Jatwież i czém ją trzymać na wodzy. Powiadał, że dopiero gdy królmi potężnymi potężnej Jatwieży oba zostaną, wtedy dopiero sami dąb ten straszny zetną i z całym ludem chrześcijanami zostaną, aby krzyżowcy rabubusie napadając nas dla rabunku, nie mogli już powiedzieć że napadają dla wyplenienia pogaństwa. „Ale tymczasem niech zbiegają się poganie do mego świętego dębu — mówił chytry starzec — ażeby ten dąb stał się tęp dla Jatwieży nowej, czém jest pestka dla owocu, jądrem, sercem, wkoło którego narasta mięgisz owocu, a bez którego niemasz narodu“. — Chłopak mój, mój Jan zawsze był butnym i pysznym, o królowaniu o rycerstwie jemu mówić, to jakbyś go głaskał po sercu, paliła mu się głowa

*) Leszek Czarny, sławne zwycięstwo pod Lublinem, przypisywane cudowi archanioła Michała 1282 roku.

do tego królowania, i słuchać mię nie chciał. Ledwo też z dzieciaka na młodzieńca wyrósł, zaraz mu stary swoją córkę jedyną poślubił swoim obrzędem, z wielką uroczystością wobec całej zbieraniny tój pogańskiej, a wszystko po to, żeby chłopca mego mnie odebrać a do siebie przywiązać. I udało mu się. Chłopcu tak głowę zawrócił że go rozbójnikiem uczynił, wmawiając wciąż że go do rycerskiego królowania prowadzi. Banda zaczynała już naprawdę w pierzę i w moc porastać pod wodzą mego biednego chłopca, gdy w jednę rozbójniczą wyprawie zanadto uniósłszy się rycerskim jak on sądził zapalem, padł mój nieszczęsny syn, a z nim wszystka młodź bandy która w ogień za nim iść była gotowa. Żona jego zmarła z żalu po nim, bo taki to on już nieszczęśnik był że każdemu do serca przypadł. A no snadź Panu Bogu podobał się też, więc go wziął, aby chłopak duszy chrześcijańskiej na rozbojach z pogaństwem nie zatracił. Został po nim ten oto syn, co mu stary dziad też tak samo jak jego ojcu królowaniem głowę od małości zawracał, że jak ojca a matki zbrakło i ja mogłabym z nim uciekać, to chłopiec już uciekać nie chciał. Chował go stary, chował a uczył aż wyuczył że teraz już jako widzicie i sam rozbijać zaczyna... mój wnuk rodzony którego sama Hansem nazwałam, jak zwałam mego małego zginionego synka...

Stara niewiasta z płaczem dokończywszy swęj opowieści, skulona na pniaku, skryła w dłonie twarz łzami zalaną i siedziała tak łkaniem tylko od czasu do czasu znak dając o sobie. Cisza panowała w chacie trzaskiem ognia tylko przerywana, gdy z ciemnego kąta do którego niewiasta niedawno jadła i napój nosiła, z pomiędzy komina i gromady mchu i płacht jakichś podniosła się i ukazała zwolna wysoka postać, z głową obwiązaną białym płatem, a z twarzą tak wybladłą, że patrzącym nań chorym Niemcom, przyszedł na myśl *Pikał* straszliwy... Postać ta zwolna wyrósłszy ze swego kąta, wysunęła się zeń i przystąpiwszy do płaczącej kobiety dotknęła jej ramienia, pytając:

— Niewiasto! czy nie miał na ciebie jakiego dziwnego znaku ten twój mały zagubiony synaczek, Hans?... — płomień jasno oświecił tajemniczą wybladłą z za komina postać, gdy mówiąc te słowa nachyliła się ku niewieście, oświecił twarz jej i lewe ramię z szat odsłoniłone na którym widna była ciemna plama, dziwną igraszką natury mocno do myszy podobna... Kobieta podniosła głowę, spojrzała na tę plamę i w oczy mówiącego i z krzykiem strasznym boleści i radości razem:

— Hans mój Hans, mój synaczek! — pochwyciła wybladłą postać w ramiona...

— Hans! Hans! — wołali także zdumieni Niem-

cy, poznając w mniemanym *Pikale* młodego i wcale niebrzydkiego towarzysza, którego żalowali wszyscy serdecznie, jak serdecznie poprzednio kochali. Tymczasem biedna stara matka, wśród krzyku, śmiechów i łkań, wpadła w taki wół dziłki szął radosny ściskając i pieszcząc swą odnalezioną zgubę, że obecni sądzili iż zmysły postradała z nadmiernej niespodzianej radości. Dopiero gdy nagle rzuciwszy się na kolana i syna pociągawszy za sobą, głośno dziękować Bogu za szczęście swe zaczęła, uspokojono się o nią. I ona uspokoiła się przy modlitwie.

— A nie poganin ty?! — krzyknęła nagle, znów syna ściskając a przypatrując mu się.

— Nie, matko — odrzekł całując drżące jej ręce — wcale nie; bo nasza radziejowska pani lecząc i opatrując ciało moje długo, gdy m ciężko chory był i duszę moją opatrywała i księdza benedyktyna sprowadzała i uczono mię. Że zaś nikt nie wiedział i jam nie wiedział czy byłem chrzczony, tedy dano mi chrzest taki, jak w podobnych wątpliwych razach dawanym bywa wedle przepisów chrześcijańskich.

(D. c. n.).

Z ŻYCIA PENSYONAREK,

OPOWIADANIE W LISTACH.

LIST II.

Kochane siostrzyczki!

List mój pierwszy do was pisałam jak już wiecie wieczorem, przy lampach w klasie, siedząc jak wszystkie w ławce na nowem mojem miejscu obok Kolskiej, którą bardziej jeszcze teraz niż dawniej nazywam pedantką, chociaż sama przed sobą tylko tak ją nazywam. Co wieczór my tak na odrabianie lekcji jutrzejszych schodzimy się po raz drugi do klas, przyczem oczywiście pisze się i listy gdy są do pisania i ten obecny piszę także tak samo. Z tamtym pierwszym, posłaliśmy dopiero na trzeci dzień z panną Luizą do redakcyi *Wieczorów*, gdzie powiedziano mi że dopiero za tydzień zgłoszwszy się, będę mogła się dowiedzieć czy list będzie drukowanym; tymczasem z wielkiem mojem zdumieniem, za tydzień zobaczyłam go już wydrukowanym w numerze *Wieczorów* który do nas przychodzi na pensję. Widząc jak go panienki czytały, ani domysławiając się że to ja pisałam, przyszło mi dopiero na myśl, jak roztupnie poradziła panna Luiza, żeby pisząc o naszej pensyi i o sobie i o niej, wszystkim nietylko już nazwiska, ale i imiona pozmieniał, aby się nikt nie domyślił że

to o nim mowa i nie obraził, choć naprawdę nie miałby czego, bo ja przecież niczych tajemnic wydawać nie myślę, tylko piszę to, co mnie samą dotyczy najwięcej. Ale zawsze i tak muszę przecież ciągle i o drugich wspominać, pomiędzy którymi żyję, więc pomyślałam czy też to ja dobrze robię postępując tak przeciw przysłowiu: *choćby cię smażyło w smole nie mów co się dzieje w szkole*. Myśl ta zakłopotowała mnie okrutnie, gdym tak siedząc w kątku słuchała, jak panny czytając mój list w Wieczorach, powtarzały ciągle ze śmiechem: — A to tak jakby u nas! zupełnie jak u nas! — a na to odpowiadała panna Luiza z uśmiechem spoglądając na mnie: — Cóż dziwnego, z małemi różnicami wszystkie liczniejsze pensye tu w Warszawie są i muszą być do siebie trochę podobne, więc i to co się na nich dzieje także mniej więcej jest do siebie podobnem. — Znalazłszy chwilę wolnego czasu, wypowiedziałam pannie Luizie moje wątpliwości, a ona pomyślawszy rzekła. — Wiesz co, idź ty najlepiej do samej pani Janickiej bo ja nie jestem pewna czy ci dobrze radzę. — Zakłopotalam się wtedy bardzo, bo ja przecież i o samej pani Janickiej nie mało w poprzednim liście pisałam, więc jakże tu jęj teraz dopiero po czasie iść się o pozwolenie pytać? Powiedziałam to zaraz pannie Luizie, a ona rzekła że kiedy tak, kiedy mnie sumienie jakoś niepokoi, to właśnie iść powinnam natychmiast z tym numerem Wieczorów do pani Janickiej i od razu sprawę szczerze wyjaśnić, témbardziej, że to właśnie przełożoną przekona, iż nie pisałam pierwszego listu naumyślnie bez jęj wiedzy, ale tylko przez nieuwagę, zapomniawszy o owém przysłowiu. Panna Luiza dodała ze śmiechem, że i ona ma też trochę winy w tej sprawie bo właśnie była w nią wtajemniczona. Po takiej naradzie z panną Luizą, pobiegłam cpo prędzej do przełożonej, śpiesząc się aby mnie odwaga nie odeszła, i podałam jęj numer Wieczorów, beładnie a prędko wypowiadając całą rzecz tak, że mię pani Janicka ledwo z trudnością zrozumieć mogła. Zrozumiawszy wszakże i przeczytawszy list, ani myślała bronić mi dalszego pisania jak się tego obawiałam. Owszem, pozwoliła na nie chętnie, pod warunkiem, że nie będzie to pisanie tak częstém, żeby mi aż czas od nauk zabierało. Dalej powiedziała pani Janicka, że o niej samej mogę sobie pisać całą prawdę jak mi się tylko zdaje i jak ja sama chcę, a co do owego przysłowia o szkole i jego znaczenia, kazała mi przełożona zwrócić uwagę na to, a zastosować się w pisaniu do tego co mię samą już w tej literackiej próbie przy pierwszym druku spotkało, gdy panienki czytając mój list mówiły, że to co tam opisano, jest zupełnie tak jak u nas, a panna Luiza odrzekła, że

nie w tém niema dziwnego, ponieważ z konieczności, to co się dzieje na wszystkich liczniejszych pensyach w Warszawie, musi być do siebie podobnem.

— Weźże sobie tę rozmowę panienek z panną Luizą za naukę nie tylko na teraz, ale i na dalsze życie gdy z pensyi wyjdiesz, a zwłaszcza jeżeli i potem pisać i drukować będziesz — mówiła przełożona — a to dla tego, ażebyś przy tej sposobności zrozumiała dokładnie rzecz dość trudną do zrozumienia, a mianowicie tę, jaka jest różnica pomiędzy obmową na piśmie czyli tak zwanym z włoska *paszkwilem*, a *satyrą*. Jedno i drugie nazwane z obcego do nas przyszło języka, o czém nie mam w tej chwili czasu opowiadać, ale o tém wiedz i to pamiętaj sobie na zawsze, że paszkwil w znaczeniu dziś u nas przyjętém jest rzecz zła, a satyra jest rzecz dobra. A to dla tego że paszkwil jest *szyderstwem z człowieka* i przez to oburza tego człowieka, a zaś satyra jest *szyderstwem z wady* i jako taka rozbawia i oburza ludzi przeciw tej wadzie, ale nigdy przeciw dotkniętemu nią człowiekowi, który dotknięty niby chorobą, przecież za tę chorobę nie potrzebuje się wstydzić, ale powinien tylko uznawszy i ujrawszy przedstawioną jęj śmieszność lub brzydotę, starać się z niej uleczyć. A tego wszystkiego masz oto przykład na tém twojem pisaniu. Bo gdybyś była opisała czy mnie samą, czy Łazowską, czy pannę Eustachją ze strony naszych szczególnych i drobniejszych wad, które ma każdy prawie człowiek, to byłabyś niejako palcem wskazała na nas, na pensyę moją, na mnie na moją nauczycielkę i pensyonarkę, przez to zaś, byłabyś, a przynajmniej mogłabyś narazić nas na śmieszność i szyderstwa z osób naszych, byłoby więc to paszkwilem czyli wyszydzeniem osób. Ale że wiedziona pierwotnemi zasadami dobrego wychowania, czy też przypadkowo, nie wskazałaś wcale wad naszych *szczególnych* osobistych, a pisałaś tylko o wadach *ogólnych*, jak np., że ja serca nie mam, co nie u jednego bywa; że Kolska do śmieszności nudno jest i jak rabin w książkach siedzi, co się też między panienkami zdarza, że Łazowska ścisza się, gniewa, kłóci z przyjaciółkami po parę razy dziennie, co pospolite jest między żywemi a niezbyt starannie wychowanemi dziewczynkami, przeto, napisałaś tylko maleńką pensyonarską satyrę, która żadnej z nią dotkniętych osób nie gniewa, a śmieszny tylko troszeczkę, a więc poprawić może, jeżeli by było z czego się poprawiać. Znakiem zaś najlepszym i dowodem że udało ci się mimo wiedzy napisać satyrę zamiast nędznego paszkwila, jest ta okoliczność, że panna Luiza mogła zrzucić śmieszności lub wady wymienione w twym liście



na karb wszystkich innych warszawskich pensyi, i ich przełożonych, nauczycielek i pensyonarek, i że panienki na ten pomysł panny Luizy przystały, co dowodzi że jest on prawdopodobnym. Pamiętajże moje dziecko, że dopóki z jakimkolwiek pismem wysydzającem można tak postąpić, dopóty pismo to nie jest paszkwilem, to jest szkodliwą obmową, lecz jest uczciwą i korzystną dla obyczajów satyrą i że dopóki w ten sposób pisać będziesz, dopóty wolno ci będzie pisać co zechcesz o mnie i o nauczycielkach i o pensyonarkach moich.

To powiedziawszy, pani Janicka pocałowała mię w czoło, a ja ją w obie ręce, mało nie skacząc z radości że nie rozgniewała się o przeszły list i pozwoliła pisać na przyszłość. Nie zaręczam wam moje siostrzyczki, czy dobrze pojęłam różnicę między paszkwilem i satyrą, ale będę się starała lepiej to zrozumieć i napiszę wam jak tylko zrozumieć. W każdym razie tyle przynajmniej dobrze rozumiem, że nazwy paszkwil i satyra odnosić się muszą do pism ważniejszych, a pani Janicka skorzystała tylko ze sposobności, aby mi ich znaczenie objaśnić na mojem własnem pisaniu, które przecież nie jest naprawdę ani jednem ani drugim, lecz tylko dziecinną bazgraliną.

Tymczasem będę wam dalej opowiadać sprawy wewnętrzne naszej pensyi, tém chętniej że mi to pozwolono.

Otóż powiem wam, że pomimo iż prawdziwie panią Janicką kocham, témbardziej teraz, za to że się nie gniewa za moje o nią pisanie i dalej pisać pozwala, przecież swoją drogą żał mam do niej za to, że mię rozłączyła z Łazowską. Łazowska nie wiem znów czy naprawdę gniewa się na mnie, za owo moje przypuszczenie, że mogłabym się zaprzyjaźnić z Kolską, czy też gniew tylko udaje, a pragnie abym ja pierwszy krok uczyniła do zgody; ale to pewna, że chodzi i krąży koło mnie bezustannie po to wyraźnie, aby się uroczyście odemnie odwracać, nieprzyjaźń swą dobitnie i jawnie okazując. W każdym razie podwójnie mi to jest przykre, bo takie dąsy niemiłe są z kim bądź i prócz tego smutno mi okrutnie bez towarzystwa. Już widzę jak oczy szeroko otwieracie na to moje wyrażenie, że jestem bez towarzystwa, znajdując się wśród kilkudziesięciu panienek. Ale nie sądzicie bym się omyliła tak pisząc, owszem, wiercie memu doświadczeniu, iż tak rzeczywiście jest, że w największym tłumie można się czuć tak samotnym, jakby się żadnego nie miało towarzystwa, jeżeli nie znajdziemy w tym tłumie nikogo kto by był nam odpowiedni we wnętrzu ducha usposobieniem i humorem. Dopóki człowiek pozostaje jak wy dotąd wśród rodziny, dopóty tego uczuć

nie może, bo rodzina jako wspólnem życiem; od jego początku ze sobą zjednoczona zawsze mniej więcej jest sobie duchem pokrewną, choć i tak zdarza się, jak u państwa Worowskich, szczególna jakaś ściślejsza przyjaźń między dwojgiem tylko rodzeństwa, wśród innych kilkorga. Ale dopiero znalazłszy się wśród ludzi obcych, można prawdziwie zrozumieć jak bardzo człowiek do człowieka może nie przystawać. I dla tego też jeśli wtedy znajdzie się jedna jedyna przystająca do naszej dusza, to ją się ceni tém bardziej i tém serdeczniej kocha. Taką właśnie odpowiednią mi duszę miałam ja tu w Łazowskiej i trzebaż nieszczęścia abym ją postradała. Przyznacie że trudno nie mieć za to żalu do tych, którzy są nieporozumienia przyczyną. Zmartwiona jestem prawdziwie. Gdybym zresztą była pewną że Łazowska czeka tylko na pierwszy krok odemnie ażeby się pogodzić, tobym go uczyniła bardzo chętnie, ale wiem że ona jest zawzięta, sama mi nieraz powiadała że jak przyjaciółkę kocha to od serca, a jak się pogniewa to śmiertelnie; więc lękam się uczynić pierwszy krok napróżno i skompromitować się tylko daremnie. Bo któż wie czy ona nie chce tego tylko właśnie wywołać, a niemiła to rzecz kompromitacja...

Przerwałam pisanie i teraz wpół godziny dopiero wracam do niego, bo tak się stało że w chwili kiedy pisałam wyraz *kompromitacja*, pani Janicka właśnie przechodząc koło ławki spojrzała na mój list, a ja krzyknęłam głośno: *ach!* i obu dłońmi mimowoli list zakryłam. A zrobiłam to wszystko tak gwałtownie i z takim przestachem, że nietylko pani Janicka stanęła zdziwiona patrząc na mnie, ale wszyscy na mnie uwagę zwrócili. Zrobiłam zaś dla tego, że mi się znów cudzoziemski wyraz *kompromitacja* z pod pióra wymknął, więc na widok przełożonej, cała historia z wyrazem *pedantka*, stanęła mi przed oczyma. Na widok zdziwienia przełożonej, nie mogłam się przecież wstrzymać od śmiechu z samej siebie i powiedziałam:

— Ja zapomniałam się znowu, pisałam cudzoziemski wyraz *kompromitacja* właśnie w tej chwili kiedy pani na mnie spojrzała, więc zdawało mi się że pani to już widzi i ani wiedząc sama co robię, zakryłam ten wyraz, ze strachu przed połajaniem. — Na takie tłumaczenie, wszyscy nie wyjmując przełożonej śmiać się zaczęli ze mnie, a potem rzekła pani Janicka, usuwając z lekka z przed siebie list który jej podawałam, aby już przecież zobaczyła tę *kompromitację* kiedy się do niej przyznałam:

— Listów waszych do rodziców pisanych czytać nie potrzebuje, a nawet niewłaściwością i nie-

ledwie złem bo mi się zdawało, gdybym je czytać miała, wchodząc przez to niepotrzebnie, pomiędzy ludzi najbliższych sobie na świecie, i najściślej z sobą połączonych. Mnie samęj przykroby było bardzo, gdyby ktoś, ktokolwiek bądź obcy, miał czytać bez mej wiedzy list dzieci moich do mnie pisany, bo sądzę, że nikt na świecie nie może mieć prawa do równie bezgranicznego ich zaufania jak ja! Nie dla tego wcale że jestem ich matką, bo tyle *każde* stworzenie potrafi, ale dla tego że umiałam ich na znacznych ludzi wychować, jak się tém słusznie mogę poszczycić. Ale powiedzcie mi też dzieci, czy wy wszystkie tak jak Skalska czujecie, że niby ja spojrzeniem myśli wasze i listy z daleka przenikam?

Na te słowa przełożonęj, zaczęły się znów wszystkie pensyonarki śmiać, ale po chwilce gwarnęj rozmowy zgodziły się na jedno, że chociaż przecież wiedzą że to jest niemożliwe aby przełożona przechodząc i spojrzenia na nas tylko zdaleka rzucając, już miała odgadywać i wiedzieć wszystko co my piszemy, myślimy, lub między sobą mówimy, to przecież istotnie *czuje* się tak, jakby to właśnie tak było. I dla tego, zapewniały panny że doskonale odczuwają czemu ja mój list z ową *kompromilacyą* tak gwałtownie zakryłam. W czasie tej gwarnęj panien rozmowy, przełożona stojąc wsparta o moją ławkę tak jakoś marszcząc brwi zamilkła, że to aż znów wszystkieśmy spostrzegły, bo nazbyt było widoczne. Niektóre starsze, zaniepokoiły się nawet trochę, bo już i ja coś o tém słyszałam, że przełożoną napastują czasem gwałtownie i nagle a ciężkie bóle głowy, które ona nieraz tylko silną wolą, znosi całemi godzinami, nim im ulegnie i omleje, a początek tej jej słabości ma być z wysiłku strasznego i zmęczenia, jakich doznała przed rokiem wśród długiej i jak sądzono śmiertelnęj najstarszego syna choroby, w czasie której przecież i obowiązkom przełożonęj pensyi trzeba było zadość uczynić:

— Czy głowa panią boli? czy pani jest słabo? — spytała cicho panna Luiza siedząca przy nas ze swą robotą, i widocznie także zaniepokojona o przełożoną. Ale pani Janicka temi panny Luizy słowami jakby zbudzona z zamyślenia, podniosła żywo głowę i oczy i rzekła:

— Wcale nie, tylko z powodu tego o czém mówiły dzieci przed chwilą, tego uczucia mojej przenikliwości, jakie we mnie uważają, przypomniałam sobie jakąś książkę dawno już czytana, w której myśl jedna bardzo mię wówczas zajęła, chociaż dziś już nie wiem w jakim to było dziele i o cém tam chodziło. Tyle tylko pamiętam, że autor czynił przypuszczenie dziwne, może żartem

tylko, lub fantastyczną uniesiony przesadą, jako z czasem, po wiekach wielu oczywiście, rozum i przenikliwość ludzka dojdą do takiej doskonałości, że ludzie wszyscy wzajem czytać będą niejako myśli wzajemne na czołach i w oczach swoich, i odczuwać wzajemne uczucia, jakby jedno i toż samo serce we wszystkich biło piersiach. Autor utrzymywał że wtedy powróci złoty wiek, czy też raj na ziemię, gdyż ludzie z konieczności doskonałemi się staną pod taką wzajemną nieustanną kontrolą wszelkich myśli, nie tylko uczynków, która to kontrola wtedy dla ogółu będzie tém właśnie, i to dotykalnie, czém i dzisiaj dla wybranych, jest wiecznie otwarte oko Opatrzności.

Przełożona wypowiedziała te wyrazy powoli, z oczyma w ziemię utkwionemi, widocznie pracując umysłem nad przypomnieniem sobie dawniej odczytanych wrażeń i przeczytanęj myśli. My, a nawet i panna Luiza, z igłami, piórami i książkami w rękach, zapominając o nich, słuchałyśmy zdziwione owych słów, z wlepionemi w panią Janicką oczyma.

— A!... jakżebym pragnęła czytać tę książkę która o takich rzeczach mówi! — wykrzyknęłam mimowoli, bo naprawdę przecież to zajmujące jest gdy mi kto co zupełnie nowego powiada. Panny, moim wykrzyknikiem z zamyślenia rozbudzone, jedne rozśmiały się, może, panie Boże odpuść, same nie wiedząc z czego i po co, jak to z pannami się zdarza czasem, inne przyznały że radeby też taką książkę czytać, panna Luiza nieznacznie wzięła mię za ucho i pocichu szepnęła, jakby grożąc mi:

— Fantastyczka!... bo panna Luiza namawia mię do kształcenia się w jakim przedmiocie specjalnym, i do pisania w tym przedmiocie, zamiast fantastycznych bazgrań, które jej zdaniem do niczego nie prowadzą, kiedy tymczasem zgłębianie jakiej bądź nauki, prowadzi zawsze do najwyższej mądrości, bo do ukorzenia się przed cudami Boga, i uznania własnej małości. Panna Luiza jest sama bardzo uczoną. Przełożona mówiła tymczasem.

— Czekaj, odzwyczaj no się od używania wyrazów cudzoziemskich bez koniecznej potrzeby, mówiąc i pisząc po polsku, a ja zanim ty się odzwyczaisz, znajdę może w mojej szafie tę książkę i dam ci ją... — tak mówiąc do mnie z dobrocią, pogroziła mi jednak także przełożona, ja podskooczyłam prawie z radości, bo ona nie ma zwyczaju zapominać obietnic i po mojemu mimowolnie pocałowałam ją w ramię wychodzącą już koło mojej ławki z klasy. A wtém, po przeciwnęj stronie ławek, daje się słyszeć mruknięcie, bardzo wyraźne przecież:

— Patrzcie ją! literatka! lizus! — Dla czego

na te słowa Łazowskiej cała klasa wybuchnęła śmiechem, ja się zaczerwieniłam aż w uszy mi się gorąco zrobiło... tego doprawdy nie wiem! Bo przecież z pewnością nikt a nikt, ani Łazowska nawet, nikt w całej szkole prócz pani Janickiej i panny Luizy nie wie, że to ja tamten list w Wierczorach pisałam, a lizusem każdy też wie że nie jestem, tylko szczerze panią Janicką kocham i podziękowałam jej za obietnicę mimowoli, więc nie miałam się czego czerwienić. A jednak się zaczerwieniłam, a zaraz też panuy ta i owa zaczęły powtarzać:

— Literatko, pożycz no pióra! — Literatko czy nad przyszłością dumasz? — Literatko jakie tam dzieło piszesz?

Ten ostatni dowcip tak mi dokuczył, że zerwałam się jak oparzona i chwyciwszy książki i zeszyty, pobiegłam za Kolską, która mając na to sama jedna pozwolenie, wychodziła właśnie wraz ze swemi księgami na górę, aby tam spokojnie pracować. Ona tak robi często, gdy panny zanadto hałasują, ale ja to pierwszy raz zrobiłam, i dopiero usiadłszy spokojnie na górze przy stoliku Kolskiej i dokończając ten list do was moje siostrzyczki, myślę sobie czy za moję porywczosć nie będę miała jakich nowych prześladowań od Łazowskiej? Muszę też o tém z mądrą Kolską pomówić teraz gdy same tak tu siedzimy. Co Kolska powie napiszę wam w przyszłym liście.

Do przyszłego listu zatem moje najdroższe!

ANUSIA.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Nasi podróżnicy, w miejscu krzeseł ustawili w pół kole paki, wyjęte z wozów, usadowili się na nich wygodnie, jedną, wyższą, postawili przed sobą zamiast stołu i zjadali z wielkim smakiem. Mieili dnia tego wyborne pieczyste z dropia, przezwanego dzikim pawiem przez boerów. William zastrzelił po drodze tę piękną zwierzyńkę, która jest wysoko ceniona w Afryce południowej, tak samo prawie, jak dzikie indyki w Ameryce południowej.

Młodzi myśliwi bardzo starannie przyrządzili swoje pieczyste; Arend zajmował się tém, jak zwykle, pokrajał mięso dropia na kawałki i podał każdemu, co kto lubił: temu skrzydełko lub pierś, innemu udo z łapką, wątróbkę, głowę z szyją, a wszyscy zadowoleni byli z tego, co się im dostało.

Podczas tej uczty gromadka kań niespodzianie pojawiła się tak blisko naszych młodzieńców, że Janek i Klaas aż wykrzyknęli z podziwienia. Niedawno z godzinę napróżno na nie czatowali i pewni byli, że ptaki uciekały od nich, a teraz same zdawały się szukać zaczepki. Siadały sobie na ziemi bez najmniejszej obawy o kilka kroków od nich, krążyły niziutko ponad ich głowami, przechadzały się dokoła z tak pociesznemi ruchami, że nie tylko młodzi, ale Facetan i Kongo śmiali się do rozpuku, patrząc na nie.

Zuchwałe ptaki nie poprzestały na tém; zbliżały się coraz więcej do uczujących, nakoniec niektóre zaczęły w najlepsze wyrwać im z rąk kawałki mięsa i same się niemi raczyły. Psom nawet wykradały zręcznie kości, które im młodzieńcy rzucali i z dziwną śmiałością zaglądały im w paszczę.

Gdyby to było zależało od Klaasa i Janka, kanie byłyby niezwłocznie ukarane za swoje zuchwalstwo. Obaj malcy pochwycili strzelby, jak tylko się zbliżyły i drżeli z niecierpliwości, aby choć parę trupem położyć. Ale starsi ich powstrzymali, Hans zwłaszcza chciał koniecznie przypatrzeć się z bliska postępowaniu ptaków i z wielkiem zajęciem śledził wszystkie ich poruszenia.

Chłopcy otrzymali nakoniec pozwolenie strzelania i natychmiast z niego skorzystali; ale, rzecz dziwna, chociaż strzelali raz po raz i zawsze trafiali, reszta ptaków nie odlatywała, a nawet jedna skaleczona kania przyczołgała się aż do obozu i zbierała chciwie okruchy jadła po ziemi. Nasi myśliwi pokładali się od śmiechu patrząc na tych natrętnych gości, zabawne zdarzenie zwiększyło jeszcze ich wesołość.

Młody przyrodnik zastrzelił dnia tego prześlicznego gołębia o skrzydłach ciemno zielonych, właściwego Afryce południowej. Gatunek ten jest dość rzadki i Hans miał zamiar go wypchać. Zaraz po obiedzie młodzieniec zabrał się do tej roboty, zdjął ostrożnie skórę z gołębia, mięso oddał psom, wydobył też ostrożnie mózg z głowy. Chłopakom uprzykrzyło się tymczasem strzelać i kanie rozpędzone na chwilę, z podwojnem zuchwalstwem powróciły do obozu młodych myśliwych.

Jedna z nich, widząc gołębia na kolanach Hansa i nie spodziewając się zapewne żeby był ogołocony z mięsa, rzuciła się chciwie na niego, pochwyciła piękne skrzydło w szpony i uleciała w górę ze swoją zdobyczą. Co było najzabawniejsze, że młody przyrodnik, trzymający w tej chwili w ręku miseczkę, w której przyrządzał ciecierz po potrzebną do swojej roboty, nie spostrzegł tej kradzieży i dopiero po chwili zaczął się oglądać za

gołębiem. Ale kania tak szybko odleciała że chociaż wszyscy myśliwi pochwycili za strzelby i sześć wystrzałów wysłali za nią, nie odzyskali jednak zguby. Malcy nie mogli się nacieszyć myślą o zawodzie, jaki spotkał żarłoczną kanię, gdy spostrzegła na koniec, że piękna skóra gołębia była próżna i w głowie nawet nie pozostało ani odrobiny mózgu.

XXXIX.

Antylopa wodna.

Brzeg rzeki na którym młodzi myśliwi rozłożyli swój obóz, wznosił się o dwa metry przynajmniej nad poziomem wody; drugie wybrzeże było także dość wysokie, a po obu stronach głębokie wyłobienie, nakszałt szczyrby, rozcinało wysoki brzeg i wchodziło w koryto rzeki. Dwie te szczyrby, leżące jedna naprzeciwko drugiej, musiały być wygrzebane przez wielkie zwierzęta, jak nosorożce i inne, które w tym miejscu zapewne przychodziły pić wodę. Potwierdzały to przypuszczenie liczne ślady zwierząt rozmaitych na obu wybrzeżach rzeki.

Można się było spodziewać, że po zachodzie słońca wszystko to zacznie się tu schodzić dla ugaszenia pragnienia. William i Henryk postanowili skorzystać z tej sposobności i zasiąść na czatach w tym miejscu. Była to właśnie pełnia księżyca, najmniejsza chmurka nie ukazywała się na niebie, nasi myśliwi liczyli na to, że w nocy widno będzie, jak w dzień. Ale nie potrzebowali czekać do zachodu słońca, aby rozpocząć polowanie.

Dwaj młodzieńcy gotowali broń do zamierzonego polowania, gdy usłyszeli szelest oddalony. Szczerba nadbrzeżna po drugiej stronie rzeki otwierała się wśród gęstwy sitowia i wierzbiny. Z tamąd właśnie dochodził ów szelest, który zwrócił uwagę naszych myśliwych. Po chwili ujrzeli okazałe zwierzę, wysuwające się z gąszczów. Mogli je obejrzeć dokładnie, od stóp do głowy, gdyż śmiało stapało po łące, niską trawą porośnięj. Zwierzę to miało kształty bardzo zgrabne, postawę szlachetną a chociaż młodzi myśliwi widzieli je pierwszy raz w życiu, poznali jednak od razu, że należało do licznej rodziny antylop.

Piękna ta antylopa miała około półtora metra wysokości i przeszło półtrzecia długości. Ogólna barwa jej sierści była jasnobrunatna z płowym odcieniem, ciemniejsza nieco na głowie przy nasadzie rogów, kasztanowata na czole; pysk miała biały i plamę białą na podgardlu, małe pręgi tegoż koloru przy oczach i szerszą przy nasadzie ogona. Ogon ten krótki i żyłasty zakończony był kitką puszystą. Sierść zwierzęcia była sztywna

i najeżona, na szyi dłuższa, tworzyła coś nakszałt grzywy. Rogi zielonkawe miały blisko metr długości, wygięte były w kształcie lutni, gęsto obrączkowane od nasady, prawie aż do końca.

Po tej postawie wspaniałej, po kształcie rogów, a zwłaszcza po sierści nastroszonej, przyrodnik poznał antylopę wodną, zwaną w języku naukowym *aegocerus ellipsiprymnus*. Z tej nazwy antylopy wodnej, możnaby sądzić, że zwierzę to w wodzie żyje. Tak jednak nie jest. Nazwa ztąd pochodzi, że antylopa ta przebywa zwykle w bliskości rzek lub jezior, i lubi zanurzać się w wodzie, zwłaszcza w godzinach południowych, w czasie największego upału. Pływa doskonale i zwykle w wodzie szuka ratunku, w każdym niebezpieczeństwie. Nie zważa na głębokość rzeki, ani na szybkość prądu, gdyż w wodzie czuje się jakby we własnym żywiole. I inne gatunki antylop, a także i jelenie chronią się do wody przed pogonią psów lub drapieżnych zwierząt, lecz czynią to zwykle tylko dla odwrócenia uwagi swoich prześladowców, a przepląnawszy rzekę, wyskakują na brzegi pędzą dalej po błoni, lub ukrywają się w lesie. Ale antylopa wodna inaczej postępuje, nie poprzestaje na przebyciu rzeki w szerz, płynie z prądem po samym środku, gdyż w wodzie czuje się bezpieczniejszą, aniżeli na lądzie i śmiej się stawia czoło nieprzyjacielowi wśród nurtów rzeki.

Przebywa zwykle w okolicach bagnistych, ukrywając się wśród sitowia i wodnych roślin; w czasie, gdy rzeki wylewają, trudno ją bardzo napotkać, wówczas bowiem nie szuka wcale miejsc suchszych, ale pozostaje w niedostępnych ustrojach, błędząc po trzęsawiskach i moczarach, gdzie myśliwy podążyć za nią nie może. Długie jej nogi i nadzwyczaj rozszerzone kopyta ułatwiają jej chodzenie po grzązkiem błocie, z którego by się żadna inna antylopa wydobyć nie potrafiła.

Antylopa wodna zaliczona jest przez naturalistów do rodzaju *aegocerus*, znacznie jednak się różni od wszystkich gatunków, tę samą nazwę noszących, tak kształtem rogów, jak i obyczajami.

Myśliwi nasi nigdy jeszcze nie widzieli tego pięknego zwierzęcia, które się nie pojawia w okolicach zamieszkałych przez boerów. Antylopa wodna właściwa jest gorącej, zwrotnikowej strefie i nie zapuszcza się do południowej części Afryki, objętej nazwą Przylądka. Ileż to jeszcze zwierząt nieznanych przyrodnikom ukrywać się musi w rozległych puszczech, ciągnących się przez całe wnętrza tego ogromnego lądu, aż do piasków Sahary!

Gdyby który z was, młodzi czytelnicy, zapragnął kiedy pójść w ślady wielkich podróżników i zdobyć taką sławę, jak Mungo-Park, Liwingstone,

lub Cameron nie zabraknie mu pewnie do tego sposobności. Tyle jest jeszcze w Afryce rozległych przestrzeni, nie tkniętych stopą Europejczyka, że i za sto lat zapewne nie będą dobrze znane. Geografowie i naturaliści mają tam rozległe pole do badań i poszukiwań wszelkiego rodzaju,

XL.

Żartoczny płaz.

Myśliwi nasi nie mogli oczu oderwać od pięknego zwierzęcia, które się zbliżało do rzeki. Antylopa lekko i zręcznie spuściła się z pochyłości, prowadząc do brzegu i śmiało weszła do wody. Młodzieńcy spodziewali się, że przepłynie rzekę i wyskoczy po drugiej stronie. Kula nie dosięgłaby jej na przeciwnym brzegu, sądzą więc, że upragniona zwierzyna zechce im dogodzić i zbliży się na odległość strzału. Henryk i William opatrzyli hroń starannie i usadowili się w trzcinach nadbrzeżnych, tuż obok owęj szczyrby, o której wspominaliśmy wyżej.

Ale antylopa nie miała wcale zamiaru przeprawiać się na drugi brzeg, przyszła tylko zaspokoić pragnienie a postąpiwszy kilka kroków w rzece, chciwie pysk zanurzyła w wodzie. Nie daleko od miejsca, gdzie antylopa wodę piła, widać było wielką kłodę drewnianą, wystającą nieco ponad powierzchnią rzeki; spodnia jej część całkowicie była zanurzona. Młodzi myśliwi nie zwracali na to zbytnej uwagi, sądzą, że to pień jakiejś złamaniej akacyi, porwany prądem rzeki, zatrzymał się w tém miejscu, upłątany może w spłoty wodnych roślin. Było to zdarzenie bardzo pospolite, na które i antylopa nie zważała wcale. Niestety! wielka to była nieroztropność z jej strony; czemuż nie obejrzała lepiej tej podejrzaniej kłody, która pomimo niewinnych swych pozorów nie była wcale pniem obaloniej akacyi.

Jakież było zdziwienie naszych młodzieńców, a zapewne i antylopy, gdy nieruchoma czarna kłoda zakołysała się nagle na falach i pędem strzały rzuciła się do miejsca, gdzie zwierzę spokojnie piło wodę. Był to straszliwy krokodyl o zębach potężnych i skórze twardemi łuskami pokrytej.

Henryk i William wyteżonym wzrokiem śledzili to widowisko, sądzą zrazu, że antylopa umknie przed tym groźnym wrogiem; na ochocie jej pewnie nie zbywało, ale potwór był nadzwyczaj zręczny i przebiegły, zanim spostrzegła niebezpieczeństwo, pochwycił ją zębami za pysk i usiłował pociągnąć piękne zwierzę w głąb rzeki.

Antylopa broniła się dzielnie; zanurzyła się w wodę, znów wypłynęła na powierzchnię, wyr-

wała się silnie z paszczy swojego prześladowcy, trzykroć ugięła się i wypreżęła giętkie członki, aż w końcu udało jej się pociągnąć za sobą krokodyla na brzeg rzeki. Biedne zwierzę zaczęło gromadzić kopiec nogami, ale nie łatwo było przebić mocny pancerz potwora, a mając pysk uwięziony w jego zębach, antylopa nie mogła użyć rogów, które są najlepszą jej bronią.

Krokodyl nie należał do olbrzymów swojego rodzaju, gdyż w takim razie walka byłaby się zakończyła daleko prędzej. Straszne te płazy dochodzą czasem sześciu metrów długości, i bywają tak silne, że pociągają w wodę bawoły cztery razy większe od antylopy wodnej. Ale ten, którego myśliwi nasi mieli przed sobą w tej chwili, nie przechodził trzech metrów długości i nie zdołałby pokonać swjej ofiary, gdyby nie to, że ją pochwycił za najczulszą część ciała, czém biedne zwierzę znacznie osłabił. Potwór pojmował to zapewne i zaciskał zęby z całej siły, trzymając w nich pysk antylopy, jakby w kleszczach.

Krokodyl był już połową swojego cielska na lądzie, a myśliwi widzieli doskonale kark jego niezgrabny i przednie łapy rozszerzone, nakształt rąk ludzkich, mogli też śledzić oczyma cały przebieg tej straszliwej walki. Płaz oparł się na potężnym swym ogonie, pociągnął antylopę do wody i zanurzył głowę jej głęboko, chociaż biedne zwierzę nie przestawało rzucać się i wyrwać gwałtownie, a fale przewracały się i pienily dokoła.

Teraz szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę krokodyla; antylopa, pociągnięta na środek rzeki, szybko, traciła siły, nie była w stanie opierać się dłużej, przebiegły płaz, zanurzając ją w wodzie, oddech jej zatamował; piękne rogi zwierzęcia zagłębiały się zwolna, jeszcze przez jakiś czas jakiś woda burzyła się i bryzgała pod uderzeniem kopyt antylopy, nakoniec wszystko zatopnęło w nurtach rzeki, powierzchnia jej uspokoiła się i wyrównała, coraz szersze kręgi roztaczały się, jeszcze przez jakiś czas, a w końcu wszelki ślad straszliwej walki znikł zupełnie w głębinie wodnej.

Młodzi myśliwi pozostali jeszcze przez jakiś czas na wybrzeżu, wpatrzni w miejsce, gdzie antylopa znikła im z oczu. Krwawe smugi ukazywały się na powierzchni, rumieniąc pianę białą, lecz prąd rzeki uniósł je wkrótce dalej i znowu fale, jak kryształ czyste płynęły spokojnie, jak gdyby nigdy żaden straszliwy dramat nie zamącił ich ciszy.

Henryk i William powrócili do obozu i rozmawia przez jakiś czas toczyła się o krokodylach, zamieszkujących tę część Afryki. Wmieszał się do niej Zulus, który przebywał dość długo nad rzeką Limpopo, leżącą na północno-wschód od miejsca,

gdzie obozowali nasi młodzieńcy. W rzece téj żyje niezmierne mnóstwo ogromnych krokodyłów. Kongo upewniał, że widział nieraz olbrzymie płazy, których cielsko dochodziło dziewięciu metrów długości, a objętością nie ustępowało nosorożcom. Takie potwory napadają nawet bawoły, czatują na nie u brzegu, gdy przychodzą pić wodę chwytają je za pysk, i tym samym sposobem, jakiśmy opisali wyżej, wciągają do wody i duszą, pozabawiając oddechu.

Krokodyle mają szczególne upodobania; nigdy například, jak upewniał Zulus, nie jedzą świeżego mięsa, ale czekają, aż póki nie zgnije. Gdy płaz udusi bawoła, lub inne zwierzę większych rozmiarów, wyciąga je na brzeg i wystawia tam na działanie słońca, aż póki mięso nie zepsuje się zupełnie, wtenczas dopiero mu smakuje. Młodzi myśliwi już dawniej nieraz o tém słyszeli, ale nie chcieli wierzyć, pomimo upewnień Zulusa, który im powtarzał, że sam się o tém przekonał, mieszcząc nad brzegiem rzeki Limpopo.

Niektórzy przyrodnicy dotąd zaprzeczają tym opowiadaniom krajowców afrykańskich, a jednak fakt ten nie ulega wątpliwości i młodzi myśliwi mieli wkrótce sposobność sprawdzić go naocznie. Powiedzieliśmy przed chwilą, że krokodyl wraz ze swoją zdobyczą znikł z oczu naszych myśliwych, pogrążając się w głębi rzeki, lecz wkrótce miał znów wypłynąć na widownią; nikt nie przewidywał w téj chwili, że William okryje się chwałą, zadając cios śmiertelny potworowi, a Facetan i Kongo uraczą się mięsem antylopy. Ale opowiedzmy bieg wypadków porządkiem.

Najpierw Hans rozpoczął długą rozprawę o krokodylach w ogólności, wyliczał nowe gatunki odkryte w ostatnich czasach, wysławiał postęp nauki w naszym stuleciu. Mówił więc, że przyrodnicy dzisiejsi dzielą rodzinę tych wielkich jaszczurek na kilka rodzajów. Niedawno jeszcze odróżniano tylko co najwyżej trzy odrębne gatunki tych płazów, ale teraz oprócz azyatyckiego gawiala, amerykańskiego alligatora i kaimana, naliczono kilkanaście innych, krokodyłów w trzech częściach świata, Afryce Azji i Ameryce. W samej Ameryce, obok alligatorów właściwych, napotkano kilka innych gatunków, tylko w Europie i Australii нема ich wcale. Przyrodnik nasz wyjaśniał właśnie towarzyszom, jak się rozróżniają odmienne rodzaje i gatunki, gdy Zulus, który miał wzrok w rzekę wlepiony, wskazał mu zarośnięte trzcin i sitowia na samym brzegu.

Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę i spostrzegli niezwykle poruszenia w téj gęstwinie, usłyszeli przytém chrzęst łamiącej się trzciny. Nie pojmowali zrazu, co to mogło znaczyć. Zwierz dzi-

ki nie czyni zwykle tyle hałasu, przeciskając się wśród sitowia lub ziół wysokich, stąpa ostrożnie i usiłuje się prześliznąć niepostrzeżenie. Ale tu musiało się dziać coś nadzwyczajnego i nasi myśliwi ciekawi byli niezmiernie, co to mogło znaczyć. Zbliżyli się ostrożnie do brzegu i ukrywając się w zaroślach w milczeniu posunęli się do miejsc, gdzie ciągle ten dziwny łoskot się odzywał. Wkrótce skradając się pośród zarośli, stanęli tak blisko, że ujrzeli ogromne cielsko krokodyla, poruszające się w trzcinach.

Nasi młodzieńcy nie byli pewni w pierwszej chwili, czy to był ten sam, co udusił antylope, lecz wątpliwość nie trwała długo; ujrzeli wyraźnie szczątki pięknego zwierzęcia, które krokodyl wyciągał z wody, a że mu to nie szło łatwo, więc kręcił się na wszystkie strony, pomagał sobie i pasczą, i przednimi nogami, usiłując wydobyć antylope i umieścić ją bezpiecznie na brzegu.

Myśliwi z nadzwyczajnem zajęciem śledzili wszystkie jego poruszenia, ale William nie chciał na tém poprzestać, miał on strzelbę nabitą w ręku, wymierzył do krokodyla i wpakował mu kulę prosto w oko, przebijając czaszkę na wylot. Płaz osunął się natychmiast w wodę, pozostawiając krwawe ślady na brzegu; po chwili wypłynął znów na powierzchnię, miotając się, jakby w konwulsjach, ukrył łeb pod wodą, machnął ogonem raz i drugi, otworzył straszliwą paszczę, wreszcie jak kamień wpadł na dno i nie ukazał się więcej.

Kongo i Facetan pędem pobiegli po antylope, która pozostała na brzegu pośród sitowia i z okrzykami tryumfu przywlekli ją do obozu.

XLI.

Perlice.

Młodzi myśliwi pozwolili im zabrać dla siebie tę zwierzynę, a resztę psom oddać na pożarcie, sami nie mieli ochoty skosztować mięsa antylopy wodnej, które się nie odznacza wyszukany smakiem. Mieli dziś na wieczерze przysmak nielada, wyborne piecyste z dzikich perlic, które w niczem nie ustępują kuropatwom i jarząbkom.

Perlica znana była w czasach starożytnych, pisarze łacińscy wspominają o niej często pod nazwą *meleagris gallina numidica*. Dziś często wśród hodowanego drobiu widzieć można tego pięknego ptaka, przezwanego perlicą, z powodu upierzenia kropkowanego. Perlice pochodzą z Afryki, Anglicy nazywają je kurkami gwinejskimi dla tego, że w naszych czasach najczęściej z tamtąd bywają sprowadzane do Europy. W Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w strefie cieplejszej, hodują także perlice, gdyż mięso ich jest wysoko ce-

nione przez smakoszków. Na wyspach antylskich ptaki te niezmiernie się rozmnożyły i w wielu okolicach żyją po lasach w stanie dzikim, a mieszkańcy polują na nie tak samo, jak na inną zwierzynę. Ponieważ ptaki te znaczne szkody wyrządzają w polu, więc rolnicy wyniszczają je wszelkimi sposobami.

(D. c. n.).

GRA W GAWĘDKĘ.

Jest to gra bardzo spokojna, a więc mogąca służyć na odpoczynek po innych ruchliwszych. Słuchacz, to jest jedna z osób grających mająca zgadywać ukryty sens gawędki, wychodzi do drugiego pokoju, gdy inne umawiają się i rozbierają porządkiem pomiędzy siebie jakie przysłowie, zdanie, lub bardzo znany wierszyk, tak że każdy z grających bierze jeden tylko wyraz dla siebie. Wtedy mający zgadywać powraca do towarzystwa i przystępuje do pierwszej z brzegu osoby, która natychmiast ma rozpoczynać gawędkę, to jest ma mówić co jej się spodoba, im dowcipniej, tem lepiej, byle tylko w gawędzie swej wymieniła raz lub kilka razy, jeżeli mówi dłużej, ów wyraz jaki wzięła sobie z przysłówia, wierszyka i. t. p. Jak tylko pierwszy mówić skończy, natychmiast powinien rozpoczynać gawędkę następujący z porządku gawędziarz, tak samo mieszając do swęj gawędy drugi wyraz obranego przysłówia. I tak dalej, dopóki słuchający nie zgadnie ukrytego sensu, lub trzy razy co najwięcej usłyszawszy całe opowiadanie, nie da fantu za swą niedomyślność i musi innej na nowo ułożonej słuchać gawędy. Jeżeli zgadnie, to zajmuje miejsce téj osoby która tak niezręcznie mówiła, iż naprowadziła słuchającego na właściwy domysł, za co daje ta osoba fant i idzie słuchać ponownego opowiadania.

Łamigłówka w kwadraciku (Różia D.).

W kwadraciku złożonym z 16 przedziałek umieścić 6 A — 1 B — 3 D — 1 M — 2 O — 1 W — 2 Ż — aby odczytać w obu kierunkach: 1) Władca morskiego miasta, 2) Owad, 3) Płaz, 4) Człowiek.

Zadanie konikowe (L. W.).

ła	lul	siadł	pi	chi	się	że	twar
w koń	dzą	pa	parł	ski	ła	chi	w bo
ki	tań	ją	ba	ła	hej	dow	ho
Je	cu	pod	prze	wa	sza	ki	cha
ce	ni	sza	sto	jak	cha	roz	hu
wo	dwie	ka	lą	stra	sza	śmie	laj
ma	hu	ła	kar	szy	wo	laj	nie
le	swa	tu	lan	du	czmy	hu	ła

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

Zadania konikowe:

Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią;
Wody szepcą, słowik śpiewa,
I koniki cicho dzwonią.

* * *

Czemuż zadumany stoję
I wiosną się nie wesełę?
Bo sieroce serce moje:
Z kimże wiosnę tę podzielię?

(Wiersz Mickiewicza).

Sz a r a d y: Ludwika.

(Lud — iwka).

Odpowiedzi od Redakcyi.

Ks. L. Mini.. w Iłkuście. Wieczory pod adresem Ludwika i Michaliny Pietkiewiczówny, zaprenumerowane na rok cały.

Alex... Zdań.. w Siele Pawłowem. W tak młodym wieku niepodobna jeszcze czytywać poważniejszych dzieł historycznych nie wątpimy wszakże że przy dobrych chęciach i światłym kierunku z czasem do tego przyjdzie. Cieszymy się że młodsze siostrieczki czytają również chętnie Wieczory i polecamy się pamięci wszystkim trzech kochanych panienek.

Rózi D. w Berdyczowie. Czytelniczki Wieczorów nie są dla nas obojętne, a cóż dopiero takie od których jak od kochanej naszej Róziutki odbieramy dowody serdecznej życzliwości. Kaligrafia i ortografia bardzo dobre, nie wątpimy że dalsze kształcenie pod tak zacnem i rozumnem przewodnictwem pójdzie jak najlepiej. Dziękujemy za nadesłane szarady, lecz nie są jeszcze przejrane.

P. z pod Szydłowca. Na pomnik Mickiewicza odebraliśmy rs. 1. kop. 20.